

Pewność tajemnicza

Zostawiłem drzwi moje otworem,
Bo mam w duszy pewność tajemniczą,
Radość przyjdzie z winogron słodyczą,
Przyjdzie późną jesienią, wieczorem...

Leopold Staff

Jaki był mój udział w tym życiu wsi, które tu próbowałam pobieżnie opisać, wsi rosnącej w świadomości i buncie, w ogarnianiu troską gospodarską narodu, w nowym, społecznym, braterskim obyczaju?

Naturalnie przeżyłam wszystko mocno, a często, zgodnie ze swoją naturą, entuzjastycznie. Nie tylko dotrzymywałam mężowi i przyjaciołom kroku na drodze ku wyzwaniu z ludzi, z chłopów śmiałości stawiania czoła autorytetom i siłom wrogim rozpętaniu wszystkich dobrych mocy, wszystkich skrzydeł niosących człowieka wyżej i coraz wyżej, ale sama stałam mocno, czasem bezkompromisowo po stronie ludzi walki. Nie miałam jednak nigdy umiejętności i woli zajmowania się polityką, chociaż sprawy polityczne były mi bliskie.

Porywała mnie idea tworzenia klimatu sprzyjającego świadomości i realizacji konkretnych zadań ruchu ludowego, ale nade wszystko porywali mnie ludzie. Ludzie! To świat moich zainteresowań i moich wpływów, bo nie wstydzę się powiedzieć, że wywierałam wpływ na ludzi zawsze tak, żeby rozumieć i czuli, żeby wzruszenia towarzyszyły myślom i aktom woli. Udało mi się mówić do zebranych ludzi gorąco i z ładem myślowym, sugestywnie i rzetelnie. Mam tę świadomość, że wpływ ten był bardzo duży. Pamiętam kurs wiciowy w Hrubieszowskiem, zdaje się w Małochwieju¹. Na kurs ten przyszli młodzi

¹ Małochwiej, w pow. krasnostawskim są dwie wsie o tej nazwie: Małochwiej Duży i Małochwiej Mały. W Małochwieju Dużym znajdują się szkoła podstawowa, gimnazjum i kościół katolicki zbudowany w 1984 roku.

chłopcy z dalszych wsi, bardzo jeszcze mało dojrzały. Postanowili kurs rozbić.

Kiedy przyjechałam w wyznaczonym dniu, dowiedziałam się, że już na ostatnim wykładzie Wincentego Stojka (naszego wychowanka z Szyc) przybyli „goście” namawiali się na jakąś grubszą awanturę, tylko jeszcze nie zdążyli zamysłu wykonać. Zastanawialiśmy się, czy w tej sytuacji nie odwołać wykładu. Z jakąś niezrozumiałą pewnością siebie zdecydowałam, że wykład będę miała, a do awantury nie dojdzie.

Jeszcze przed wykładem, w czasie długo trwającej przerwy, przysiadłam się do kolegów wiciarzy, pogadałam z nimi, zapytałam głośno, kto to są ci młodzi chłopcy w ukraińskich koszulach. Oni sami odpowiedzieli, że są także wiciarzami. Głośno wyraziłam pewność, że są młodzieżą niezorganizowaną, że się z tego cieszę, bo na pewno dyskusja po wykładzie będzie ciekawsza w szerszym gronie koleżeńskim.

Kiedy zaczęłam mówić, widziałam z wysokiego podestu, jak się rozstawili. Dokoła pod ścianami w środkowym przejściu. Jednak byli gotowi do jakiejś akcji. Mówiłam prawie ciągle do nich, trzymałam ich jakby wzrokiem i serdecznym słowem. Udało mi się przecież doprowadzić do tego, że najpierw z niedowierzaniem, potem z coraz większym zainteresowaniem słuchali i zapomnieli o zamiarze wzniecenia zamieszania, aż wreszcie bili gorące brawo.

Nie było to jedyne moje tego rodzaju przeżycie. Zawsze w wypadku opanowania uwagi i uczuć ludzkich kierowałam je ku sprawom, w których moja osoba ginęła. Zdarzało mi się też doznać lekkiego dreszczu przyjemności z powodu gorącej fali sympatii ku mnie płynącej, jaką wyczuwałam na widowni. Bardzo się wtedy pilnowałam i najczęściej czymś ostrym, jakby prychnięciem zimną wodą, chłodziłam ciepło tej fali, właśnie kierując ją ponad siebie.

Wykłady moje w Gaci nie różniły się wiele od sztychów w intencjach i kierunku. Miałam naturalnie więcej materiału i doświadczeń, ale zawsze szukałam nowych treści i przykładów, nie ulegając w najmniejszym stopniu rutynie. Najpełniej jednak wypowiadałam się i najmocniej oddziaływałam piosenką, pieśnią, inscenizacją. Zawsze miałam skłonności do teatru kameralnego, do skupiania ludzkiej uwagi na skoncentrowanej akcji, na wciągającym w głąb obrazie.

Jaki był kształt naszego gackiego teatru i jaka wypełniała go treść? Inscenizowałam z coraz większą swobodą wszystko, co przynosiło życie. Pewnie doszukiwałby się ktoś w tych inscenizacjach i teatru wyobraźni, i teatru poezji, i jakiegoś symbolizmu, i jakiegoś tańca. Czasem zacierała się granica między teatrem, zabawą, żywym słowem lub jakąś improwizacją rozmowy czy monologu. Było kilka przedstawień z pełnym, dwugodzinnym programem, w tym inscenizowane powieści czy opowiadania, albo – mówiąc językiem umownym, a nieoddają-

cym istoty naszego teatru – inscenizowane pieśni i poezje, krótkie obrazy „z głowiołowe prace przy organizowaniu dziecińców, spółdzielni. Czasem treścią przedstawień były wydarzenia charakterystyczne dla naszego środowiska.

Sięgałam do Brunona Jasieńskiego, Skuzy, Orkana, Wiktora, Szymańskiego, Zegadłowicza, Orzeszkowej, Zoszczenki. Szukałam pisarzy najbliższych sprawie ludzkiej. Ale gdzież mogliśmy znaleźć pisarza, który na gorąco, w czasie naszej pracy, kiedy z rąk i serc wyrastały nam budowle i dojrzewały w naszych „ogrojach” owoce naszego działania, pisałby za nas, bo nie o nas, tylko właśnie za nas, aby na żywej gałęzce rozkwitał kwiat, z niej, z jej własnych soków i komórek.

Musieliśmy to robić sami. Dotykam tu sprawy bardzo ważnej, która jest przyczyną nieporozumień pomiędzy ludźmi mającymi swoje racje, z których jedna racja jest wynikiem miłośnictwa i wiedzy nie uczestników, tylko badaczy i obserwatorów życia ludu. Stąd wybrzydzenie się etnografów i artystów skrzepowanych konwencją ocen na „nieczysty” ludowy kształt i nietypowe treści piosenek, pieśni i wierszy powstających na wsi w nurcie ruchu wiciowego. Ludzie ci łatwiej trawia i umiejętnie opatrują etykietkami piosenki ludowe: więzienne, wojskowe, obozowe i podmiejskie, pieśni czasem ulepione ze strzępów muzyki zasłyszanej w kinie czy w gramofonie, uznając je za „ludowe”, niż te rzeczywiście ludowe, bo tworzone na wsi w żywym ruchu ludowym.

Tymczasem moim zdaniem wszystko jedno kto je układał, dziewczyna, kobieta, chłopiec czy dorosły mężczyzna, nauczycielka, czy we wsi i w ruchu ludowym wychowany człowiek, czy przybyły na wieś, o ludowości tych utworów świadczy charakter wypowiedzi, składnia, prostota, słowa wiążące się z melodią, z nutą wiejską i wyrażające treść współczesnego życia. Setki takich pieśni powstało na wsi w ruchu wiciowym, ludzie młodzi i starzy czuli potrzebę wypowiedzenia mową wiązaną, pieśnią nowych, wzbierających burzą wiosenną w chłopskim świecie myśli, wyobrażeń i uczuć.

Pisałam więc i ja setki, wiele setek wierszy i piosenek. Każdą wspólną myśl, sprawę i pracę ujmowałam w słowa i wynosiłam na chłopską scenę. Gdyby surowi panowie odwracający się od tej rzeczywiście nie „folklorystycznej” twórczości, jako nieludowej, przeżyli z nami jedno przedstawienie, w którym mniej czy więcej udanie ukazywaliśmy cuda poezji czynu chłopskiego, nigdy nie śmieliby dyskwalifikować tej właśnie iscie ludowej twórczości.

Grywaliśmy też *Szele* Jasieńskiego, *Zoskę Galicką* Witkiewicza, *Orkę na ugorze* Wiktora, *Chama* Orzeszkowej, *Serce za tamą* Morcinka², *Siemionowa*

² Gustaw Morcinek (1891–1963), absolwent Seminarium Nauczycielskiego w Białej (obecnie Bielsko-Biała), nauczyciel w Skoczowie (1921–1936), więzień obozów koncentracyjnych

Siemionowicza i arystokratkę Zoszczenki. Inscenizowaliśmy wymienionych już przeze mnie poetów, szczególnie dużo wierszy Kasprowicza, ale także Budowę Mietka Flejszara, mojego i Dejworkowego *Zbuntowanego chama*, moje wiersze o dziecińcach i Spółdzielni Zdrowia w Markowej i wiele innych na gorąco pisanych i pokazywanych w obrazach wierszy i pieśni. To nie była grafomania. To była rzeczywista potrzeba, rzeczywista społeczna konieczność. Grywaliśmy to wszystko w Gaci w ciasnej salce Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” i w Markowej na dużej scenie Domu Ludowego, w wielu wsiach i miastach Polski.

Wspomnę tu kilka szczególnie upamiętnionych naszych wyjazdów z występami. Na przykład do Przemyśla ze *Słowem o Jakubie Szeli*. Połączyłam w jeden program duże fragmenty tego utworu. Był wtedy kurs dziewczęcy, więc scena pełna ślicznych, bo promieniujących wewnętrznym urokiem dziewcząt. Szela był Antek Miara, poważny gacak, wychowany w kole młodzieży. Także chłopcy gaccy występowali w scenach zbiorowych.

Wielką salę w Przemyśle dosłownie wypełnili robotnicy. Powitał nas w ich imieniu adwokat Grosfeld. Zapytał mnie przedtem, czy nie zwrócić uwagi na odgłosy przesyłanych całusów, uwag pod adresem dziewcząt i wszystkiego, co może psuć nastrój przedstawienia. Prosiłam, żeby to nam zostawił.

Więc witamy robotników przyśpiewką. Twarze dziewcząt poważne i serdeczne. Nie oficjalne. Po chłopsku bezpośrednie, szczere. Jest już cisza. Ta cisza trwała przez cały czas naszego występu, przerwał ją tylko szum podnoszących się rąk z zaciśniętymi pięściami, kiedy Szela w kościele unosi w górę w czasie podniesienia jak monstrancję ręce skute kajdanami. Nie, nie były to wcale prawdziwe kajdany, właśnie grała tu wyobraźnia, naprawdę świetnie oddająca treść rzeczy pod wpływem sugestywnej inscenizacji.

Po przedstawieniu, jak zawsze gdziekolwiek występowaliśmy, uściski, słowa gorące, tłum otaczający nas, ludzie wołający ku nam serdecznymi słowami. To przemyskie przedstawienie dosłownie wywojowałam ze starostą, który pomimo rozwieszonych od dawna afiszów odwołał je. Odwołał, kiedy już byliśmy w Przemyśle. Ktoś kazał mu się bać. Że Szela, że bunt, że ci z gackiego uniwersytetu... Uprosiłam, żeby sam obejrzał rzecz na próbie. Po długich targach zgodził się. W jakichś podziemiach graliśmy to dla niego i jeszcze kilku zainteresowanych panów z jakichś urzędów.

Kiedy przebrzmiały ostatnie słowa tekstu, a zespół, jakby utrwalony na taśmie, stał pełen jeszcze wzruszenia i siły, zapytałam cicho: „Więc jak panie sta-

(1939–1945), poseł do Sejmu PRL (1952–1956), popularny pisarz, autor ponad dwudziestu książek, najbardziej znane: *Wyrąbany chodnik*, *Pokład Joanny*, *Ondraszek*, *Czarna Julka*. Przełożone na 17 języków.

rosto?”. Odpowiedź była równie cicha, ale podkreślona szerokim gestem obu rąk, jakby odchylających bramy serca: „Grajcie”. I starosta dyskretnie otarł oczy chusteczką. Tak właśnie było. Bo to nie był bunt, aby iść, bić i grabić... To był bunt wyzwolonych, zbratanych ludzi, przeciw wilczym prawom życia.

We Lwowie dawaliśmy kilka razy występy w teatrze miejskim. Więc byliśmy tam z *Zośką Galicką* i z inscenizowaną nową, wiciową wsią. Śpiewaliśmy przy powitaniu między innymi te słowa:

Wasze rączki białe, nasze ręce czarne,
Idziemy do was z pszenicznym serca ziarnem.

Z przedstawień warszawskich pamiętam najlepiej i wspominam ze wzruszeniem to w teatrze Ateneum. Zaczął je Stefan Jaracz. Otoczyły go nasze dziewczęta, usiadły sobie półkolem na podłodze, a on czytał jeden z *Listów ze wsi* Orkana, ten w którym góral z Poręby pisze o drzewie z rozłożystą, owocującą koroną, wysoko i szeroko rozrosłą, z mocno wrośniętymi w ziemię korzeniami. Tak lud ma wyrastać, rozprzestrzeniać się i owocować, ożywiony sokami ziemi, w której jest i w sensie przyrodniczym, i przerośniętym jedyne trwałe, czyste źródło życia.

Potem barwna, w jedno zespolona wewnętrznie gromada wyczarowuje obrazy: oto dzieci w wiejskim dziecińcu budują z klocków wysokie domy, ich rączki splatają się w koło, ich nóżki wędrują po świecie, dzieci idą w odwiedziny do miłych ciekawych ludzi. Gdy dzieci urosną, już nie z klocków, ale z trwałego tworzywa zbudują braterskie domy. Ciekawych i dobrych ludzi będą zawsze szukały po świecie, a tym, którzy nie wiedzą, jak być dobrymi, pomogą, bo będą rosły w braterskich kołach, w braterskim kraju.

I znów inny obraz: lekarz wiejskiej spółdzielni zdrowia. Przyszła do niego matka z dzieckiem na rękach. Dziewczynka ma zajęczą wargę. Trzeba zrobić operację. Żona lekarza bierze dziecko na ręce, śpiewa mu, podczas kiedy mąż zszywa przykre rozdarcie małych usteczek. Matka za drzwiami, cała w słuchu, widzi malutką w wyobraźni, modli się do tych dwojga ludzi, powtarza imię córeczki. Naturalnie nie było to jakieś realistyczne odtworzenie operacji, ale nie była to także tylko recytacja. Wiem jednak, że wszyscy w przepelnionej, oddychającej jakby jednym rytmem widowni widzieli i Hankę Ciekotową (żonę lekarza) z dzieckiem na ręku, i matkę wsłuchującą się, i to maleństwo. Czuli ciepło słońca świecącego wtedy wesoło i jasno, nastrój niedzieli na wsi, skupioną twarz lekarza. Wiem, że słyszeli śpiew żony lekarza i szepty Zosi Szylarówny, pielęgniarki, naszej słuchaczki, która jakieś pociechy wszeptywała do ucha matce. Tak było naprawdę i gromadka dziewcząt oddała tę prawdę w inscenizacji,

zupełnie nie „odegranej” na wzór obrazków rodzajowych czy sztuczek naśladowających sztukę.

No i *Budowa*... Ta inscenizacja robiła zawsze ogromne wrażenie. Bo czego tam nie było! I rytmiczna, żywa a zorganizowana robota, i przekomarzanie się dziewcząt z murarzami, a murarzy z „gapiami”. („Panie, zawiń se rękawy, podaj słonku głowę, będziemy razem dla gromady wznosili budowę”).

I majster Wilk podkręca wąs, a dziewczęta przyśpiewują mu serdecznie. I nowi ludzie idą do budowy, z tyłu wsi, z tyłu stron, setkami dróg. Dziewczęta wyglądają, witają, wywołują nazwy wsi, które „wałą” na budowę. To wszystko oddane żywo, z temperamentem porywającym najbardziej opornych. Ktoś obcy przechodzi, pyta:

Cóż tu będzie?

Chłopska szkoła.

Na wsi? Szkoły są w mieście.

Wy się, panie, do roboty z nami lepiej weźcie.

Wy tu rodak, wy chłop z chłopą,

Jak kłos w snopie, jak snop w snopach.

Mają ludzie, het, po miastach, gmachy, kamienice,

A chłop sobie pobuduje

Szkoły i świetlice.

I ten rytmiczny, porywający refren, w czasie którego kilkanaście par rąk jednocześnie podaje i odbiera cegły, ktoś kręci wodę ze studni, kilkoro miesza wapno, inni noszą coś, wyrzucają, wracają, ruch, ład, żywy, radosny obraz. Rytm trzymają mocne słowa:

Co kto może nieść czy wieźć,

Swoje robi każda wieś.

Te słowa powtarzają się kilka razy, skandowane, prawie śpiewane. *Budowa* kończy się skupieniem. Gromadka na scenie, a z nią widownia widzi jabłoń rozkwitłą przed ojcowym nowym domem. Ten zaśpiew kilkugłosowy:

W sadzie,

w ojcowym sadzie

w sadzie

zakwitła ja-a-błońnnnnnn...

To najprostsza melodia pszczelego roju. Dwa tony: C i D, a harmonia pełna, rojna, kiedy to „ń” brzmi już wieloma głosami coraz ciszej, powstaje zupełne złudzenie brzęczenia pszczół.

kazanego nam niestety – utworu Solarzowej. Przebudowa ustroju nie uda się na pewno, jeśli nie stanie do niej garść przynajmniej przebudowanych ludzi. Przebudowanych nie tylko w zakresie światopoglądowym, ale – co równie ważne – w samej, własnej architektonice wewnętrznej.

Nie zamierzam tu bawić się w recenzenta. Najbardziej istotne czynniki działania teatru „Gacaków” na widza-słuchacza wymykają się spod zwykłych biurkowych miar i kryteriów sprawozdawczych.

Zapewne można by sporo napisać o pełnym artyzmie kompozycyjnym takiego klejnociku literatury chłopskiej jak inscenizacja piosenki *Idziemy, idziemy*, o przejmującej ekspresji plastycznej zakończenia *Kasi Jasowej*, starej posępnej ballady wiejskiej, czy wreszcie najciekawszym formalnie, odrębnym eksperymencie Kaspro-wiczowskiego *Szai Ajzensztoka*.

Ale wszak nie tematy i formy (sposoby) stanowią o istocie sztuki teatru „Gacaków”.

Jej sekret tkwi w samych ludziach, jej nowość – w nowiznie przemieniającej się duszy chłopskiej.

Teatr „Gacaków” nie jest teatrem zawodowym, ale nie jest też wcale teatrem amatorskim na dotychczasową modłę, to znaczy szmirowatym a pretensjonalnym naśladowaniem teatru zawodowego. Teatr „Gacaków” jest po prostu teatrem prawdziwym w znaczeniu takim jak teatr grecki, jak *commedia dell’arte*, jak teatr Szekspirowski. Jest wyzwaniem w ludziach – nie w aktorach – instynktu zbiorowego przeżywania i tworzenia piękna.

Znaczy to, że jest zarazem teatrem prawdziwie społecznym. Nie tylko przez tematykę społeczno-ideową, przed którą wcale nie stroni, lecz w której się wyłącznie zamyka, ile raczej przez społeczną, gromadzką istotę swojego artyzmu.

A teraz wyobraźcie sobie, że taki właśnie teatr na zakończenie swej gościny w Krakowie dał ostatni, nadprogramowy występ – w kawiarni.

Co prawda w kawiarni artystów, tej, która była przez szereg lat gniazdem rodzimym warszawskiego już dziś teatru Cricot – no, ale która w każdym razie jest kawiarnią.

Przyznam się, że siedłem na ten niezwykły wieczór z uczuciem głębokiego niepokoju.

Dziś już widzę, że był to chyba – ze wszystkich dotychczasowych – najlepszy pomysł teatralizacyjny, jakaś zdumiewająca inspiracja godna wielkiego dramaturga.

Takie rzeczy mogą się zdarzać tylko raz, są – jak zrządenie losu – absolutnie niepowtarzalne.

Zakłębem, które urzekło atmosferę tego dziwnego wieczoru – a bez którego mógłby on zostać w pamięci tylko jako przykre nieporozumienie – było przemówienie wstępne Solarzowej.

Takim językiem nikt chyba jeszcze nie mówił w żadnej kawiarni. Wierście mi, nie będzie przesadą, jeśli powiem, że duch *Wesela* musnął nas owego wieczora niewidzialnym skrzydłem. Ale nie dziwcie się. Dzisiaj do Bronowic⁴ można już dojechać

⁴ Bronowice, miejsce akcji *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego. Inspiracją dla dramaturga było autentyczne wesele Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykównej w domu Włodzimierza Tetmajera. W 1910 roku Bronowice zostały przyłączone do Krakowa.

tramwajem, czyż chata bronowicka nie mogła się przenieść na wieczór pod żelbetonowy strop nowoczesnej kawiarni artystów? Tak było właśnie. Tłum „Gacaków” – młodzi chłopcy, dziewczęta w kolorach i wstążkach – stał na płytce „cricotowej” scenie mrokiem parnej kawiarnianej sali – a w rampie, na granicy tych dwóch światów, Zofia Solarzowa zaklinała „chwilę osobliwą”.

Na sali zaś? Na sali byli poeci, dziennikarze, rozmaici miastowi ludzie, pewnie i jaka „radczyni z Krakowa” – ba, nawet jeden karczmarz i sporo nowoczesnych Rachel...

Ale dość. Dość tego szalonego pędu kojarzącej wyobraźni. Trudno wyrazić wszystko, co pulsowało w atmosferze tego niepokojącego wieczoru. To było coś więcej niż napowietrzne, z którego sypnęła się dziwna elektryczność. Żywe, rozpalone iskry.

To było jedno z tych prowokujących wydarzeń, z których mogą pójść „dymy po literaturze”.

Czy i tym razem pójdą? Zobaczymy.

Uff... Bardzo jestem wzruszona. Czy to naprawdę było przeszło czterdzieści lat temu? Wydaje mi się, że tak niedawno...

Leon Kruczkowski zaraz po przedstawieniu wdał się w gorącą rozmowę z jakimś nieznanym mi panem i widział tylko ogólnie, co działo się w pobliżu „scenki”. W tłumie ludzi, którzy jak zawsze po występie cisnęli się do nas, zobaczyłam nagle wyciągniętą ku sobie rękę i człowieka przepychającego się ku nam przez zwarty tłumek. Siwy, starszy pan. Po jego twarzy płynęły łzy. Wołał stłumionym przez wzruszenie głosem: „Za Szaję! Za Szaję!”. Ucałował mnie. Popłakałam się i ja. Potem dowiedziałam się, że był to Żyd, rzeźbiarz ze Lwowa.

Potem zasiedliśmy do wieczerzy, którą gościli nas artyści krakowscy. Kelner podał mi kartkę. Jakaś pani, widocznie smutna czy nawet nieszczęśliwa, może chora, pisała, że nie ma siły do poznawania się, do rozmowy, ale musi mi powiedzieć, że w tym co się tu odbyło przed chwilą znalazła coś, czego całe życie szukała. Że to, co tu przeżyła, to nie teatr, tylko siła budząca ludzką duszę.

Dlaczego to przypominam? Bo to daje jakąś miarę rzeczy, którą tworzyliśmy, i określa jej charakter.

A *Zbuntowanego chama*, którego skreśliła nam z programu cenzura, wszyscy na sali poznali z tekstu przepisane piorunem przez jakieś zacne ręce. Kilkadziesiąt egzemplarzy pojawiło się na widowni, ktoś głośno recytował w przerwie fragment utworu.

Poprzednie przedstawienie, z tym samym programem, w teatrze przy ulicy Świętego Jana, odbyło się w zupełnie odmiennej atmosferze. Leon Kruczkowski był na wszystkich trzech i mówił, że poszedłby jeszcze na czwarte, żeby – może – wyrwać się z tego oczarowania, któremu uległ. Bo na trzecim, tym u pla-

styków, omamienie wcale nie ustąpiło. Rzeczywiście ludzie byli urzeczeni. Pan Jacek Puget⁵, wielkiego talentu rzeźbiarz, obecnie profesor akademii kształcącej plastyków, wyprawiał jakieś cuda z „uplastycznieniem” obrazu na scenie przez światła. Przemieszczał, gasił i zapalał, ubarwiał i odbarwiał reflektory, kładł się na podeście i na podłodze, aż opanował scenkę, ujął ją w barwy odpowiednie do nastroju inscenizowanych utworów.

To poprzednie przedstawienie, na Jana, miało także niezapomniany, choć inny urok. Publiczność była przygodna, „z miasta”. Tylko w pierwszym rzędzie siedzieli profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wśród nich filolog klasyk, historyk literatury, profesor Sinko⁶. Kiedy stanęliśmy na scenie i miałam właśnie odezwać się do publiczności, niespodziewanie z końca sali usłyszeliśmy śpiew. Jakaś gromada ludzi śpiewała zgodnie przyśpiewki. Po chwili dopiero zorientowałam się, że to ludzie z Szyc.

A my przyjechali
Do was, do Krakowa,
Bo jest ze zespołem
Pani Solarzowa.
Szyce ją witają,
Mile pozdrawiają,
Oboje Solarzów
Wszyscy wspominają.

Czy można się dziwić, że byłam bardzo wzruszona. Musiałam opanować się i wytłumaczyć ludziom na widowni, kto i dlaczego śpiewa. Długo grzniały siarzyste oklaski. Oczywiście my ze sceny odśpiewaliśmy Szycom przyśpiewkę ułożoną na poczekaniu. Więc znowu brawa. Przedstawienie przedłużyło się o przeszło pół godziny. Kiedy bowiem wpadliśmy już w te przyśpiewki, nie mogliśmy się od nich odżegnać. No, to trzeba było i profesorom, przyjaciom bardzo szanownym, zaśpiewać. Byliśmy na to przygotowani. Nie pamiętam wszystkich przyśpiewek, ta jedna została mi w pamięci, bo na nią właśnie odpowiedział profesor Sinko:

⁵ Jacek Puget (1904–1977), znany rzeźbiarz, uczeń Xawerego Dunikowskiego (1875–1964), profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

⁶ Tadeusz Sinko (1877–1966), filolog klasyczny, profesor Uniwersytetu Lwowskiego (1907–1913), następnie Uniwersytetu Jagiellońskiego (1913–1960), członek Akademii Umiejętności (od 1910), członek PAN (od 1952). Autor wielu wybitnych dzieł naukowych, ponad tysiąc artykułów dotyczących różnych aspektów kultury świata antycznego i jej wpływu na literaturę polską. Najważniejsze prace: *Zarys historii literatury greckiej*, *Hellenizm Słowackiego*, *Antyk Wypiańskiego*, *Mickiewicz i antyk*.

A profesorowie
kiwają głowami,
Jakby się dogadać
z tymi „Gacakami”.
Wykład czy referat?
Co tu im powiedzieć?
A jakby tak śpiewką
„z głowy” – odpowiedzieć?

W krakowiaku jest to jedna zwrotka. Zaśpiewaliśmy ją bardzo wyraźnie, *we-
soło*, trochę „kokieteryjnie”. Wstał profesor Sinko. Powiedział: „Niech się dzie-
je co chce, spróbujemy uratować profesorski honor”. I zaśpiewał, rzeczywiście
prawie bez namysłu:

Śpiewajcie, dziewczęta,
Jak polne ptaszęta,
Nie róbcie aktorek
Ni za pełny worek.

Nadchodziły z zachodu chmury, przybliżał się czas wielkich burz. W na-
szej gromadzie wiciowej i gackiej życie tętniło, pieniało się młodością, ręce
w mocnym uścisku tworzyły wielki bratni krąg. Byliśmy wszyscy młodzi,
umieliśmy się cieszyć, bawić, zawsze w pogodzie i życzliwości, zawsze ra-
zem, a najweselsza nawet zabawa wyzwalała z nas dobro. Każdy z nas wykla-
dowców miał swój „hymn”. Chrzestny – *Za borem tam biały dwór*, kolega
Ignar – *Gdybym na hali kozy pasał* – ja – piosenkę do słów Karpińskiego⁷:
*Płynie potok doliną*⁸. Zawsze nam te hymny śpiewano w odpowiednich chwi-
lach, w żartach, albo z tą odrobiną sentymentu dla czegoś, co jest miłe dla
miłego człowieka.

Ale i nasza młodość tłumiała swoje radości, serca przeczuwały grozę zbliża-
jących się dni. Wielki cień nadchodzącej chmury pokrywał z wolna obszar
naszego kraju. Wielki cień.

Wracałam na rowerze ze Lwowa. Odwiedziłam profesora Stasiaka i naszych
bliskich ludzi: Paula Wojtynę i Janka Jankowskiego⁹, przyjaciół z „Sygnałów”

⁷ Franciszek Karpiński (1741–1825), poeta, autor pieśni, elegii, wierszy okolicznościowych, bajek. Do historii przeszedł przede wszystkim jako autor pieśni religijnych: kolędy *Bóg się rodzi*, pieśni wielkanocnej *Nie zna śmierci Pan żywota*, pieśni porannej *Kiedy ranne wstają zorze* oraz wieczornej *Wszystkie nasze dzienne sprawy*.

⁸ *Płynie potok doliną*, autorem słów tej pieśni jest Franciszek Karpiński, autor melodii nie-
znany. Utwór został wydany w zbiorze *Pieśni i piosneczki narodowe* przez Karola Reyznera
w 1828 roku.

⁹ Jan Jankowski (1919–1981), prawnik, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, przed wojną
działacz młodzieżowy (ZMW „Wici”), w czasie okupacji w Batalionach Chłopskich (komendant

i kolegów z lwowskich „Wici”. W drodze dowiedziałam się o wybuchu wojny. Wi-
działam w miasteczkach i osadach tłumy ludzi słuchających w milczeniu komu-
nikatów radiowych.

Na „Górcie” jeszcze bezpiecznie. W słonecznej pogodzie kończącego się la-
ta cisza wypełniona najmiłszymi głosami bawiących się naszych dzieci.

Pewnego dnia ciszę przerwał warkot motorów. Wjechali do nas – Niemcy.

Obwodu Rzeszów). Po wojnie działacz SL i ZSL, wieloletni pracownik Ministerstwa Finansów,
wiceminister w tym resorcie (1974-1981).